



Katarzyna
Nowosielska

Hiszpański mąż

Copyright © by Katarzyna Nowosielska
All rights reserved

Redakcja i korekta:
Anna Skóra

II korekta:
Agnieszka Mąka

Projekt okładki, skład i łamanie:
Studio Graficzne Pixelnoiz

Ilustracja na okładce:
Studio Graficzne Pixelnoiz

<https://kasianowosielska.pl>
<https://www.facebook.com/kasia.nowosielska/>
https://www.instagram.com/kasia_nowosielska/

PATRONI MEDIALNI:



*Anna
Ficek*

Maridgold216

Wydanie I

ISBN
druk: 978-83-971212-3-2
e-book: 978-83-971212-4-9

*Dla mojej mamy
za bezwarunkową miłość*



CZEŚĆ I



Warszawa
maj 1862 roku



Rozdział 1

KORNELIA WYSOKIŃSKA czuła się osaczona. Otworzyła z impetem drzwi do tajemnego pokoju, do którego wejścia tak często bronili jej dorośli. Pomieszczenie nieustannie przyciągało jej uwagę. Uznała, że jest to spowodowane faktem, iż pokój, zwany gabinetem, był wypełniony ogromem przedmiotów.

Biurko zastawiały kałamarze, figurki postaci różnej maści, szkatułki. Na jego brzegach leżały kajety w skórzanych okładkach ułożone na stosikach. Masywne, mahoniowe regały wypełniały ciężko wyglądające książki. Woluminów było ponad miarę. Okno zasłaniała aksamitna zasłona w kolorze burgundu.

„Co mama i ciocia widzą w tym pokoju, że się tak często w nim zamykają?” — zadumała się Kornelia. Niby bała się tego pomieszczenia, ale w jej umyśle paliła się nieustanna chęć, aby je eksplorować. Tajemnica tegoż pokoju ją fascynowała. Poza tym miała wrażenie, że w licznych szkatułach, szufladach kryją się skarby. Ona zaś uwielbiała odkrywać świat, w tym także gabinet wuja Adama, którego nie dane było jej poznać. Wiedziała, że jego pierwowzór mieścił się w dawnym mieszkaniu cioci, przy ulicy Kijowskiej na warszawskiej





Pradze. Krewniaczka podczas przeprowadzki nakazała przenieść całą zawartość pomieszczenia i identycznie umeblować gabinet w nowym mieszkaniu przy ulicy Wierzbowej.

Nie oddała się jednak rozmyślaniom nad przeszłością zbyt długo, gdyż za sobą usłyszała głos guwernantki, która przychodziła jej dawać lekcje języka francuskiego.

— Kornelio, wracaj, proszę! Twoja ciocia nie będzie zachwycona tym, że wymawiasz się od konwersacji — krzyczała za dziewczynką Adela.

Kornelia wybiegła z pomieszczenia i zamknęła za sobą drzwi.

Ledwo odwróciła głowę, już poczuła na sobie wzrok cioci Aurelii. Staruszka stała z laseczką, w sukni koloru burgundu, od której widoku i sama Kornelia pokraśniała. Nie wiadomo, czy ze wstydu, że znowu była tam, gdzie nie powinna, czy też kolor stroju krewniaczki tak na nią zadziałał.

— Drogie dziecko. Masz już jedenaście lat, a zachowujesz się jak kilkulatka. Do czegoż to podobne, aby panienka z dobrego domu nie osiągnęła biegłości w języku francuskim? Ja posługuję się nim. A twoja matka w dodatku mówi po hiszpańsku. Chcesz odstawać od nas? — wypaliła Aurelia, spoglądając na dziewczynkę karcącym wzrokiem.

Te sposoby zachęcania do nauki, jakie Aurelia na niej stosowała, w praktyce nie przynosiły rezultatów.

— Ależ ciociuńiu kochana! Ten język jest tak nudny! Gdyby Adela ciekawiej mi go podawała, miałabym inną ochotę do nauki — powiedziała szczerze dziewczynka.

— Staram się, jak mogę, pani Aurelio. Posługuję się najlepszymi metodami pedagogicznymi, jakich mnie nauczono.





Panienka Kornelia nie chce mnie słuchać. Rozproszona często — broniła się Adela bliska już płaczu.

Aurelia zdawała sobie sprawę, że awersja do nauki języka, jaką przejawiała jedenastolatka, nie jest spowodowana przez działanie guwernantki. Ich podopieczna od zawsze była żywym dzieckiem, które usiedzieć w miejscu nie mogło, bo za wiele rzeczy je interesowało. W dodatku potrafiła tak dotrzeć do serca starej ciotki, że ta natychmiast przebaczała jej wszelkie wybryki.

— Dobrze, Adelo. Myślę, że na dziś już wystarczy tych nauk. Masz wolne. Zajmę się Kornelią. — Aurelia spojrzała na guwernantkę, odprowadzając ją.

W brązowych, ciemnych oczach dziewczynki pojawił się błysk. Podskoczyła radośnie, a jej kruczoczarne pukle, rozłożone na ramionach i upięte białymi wstążkami, aż zatańczyły wraz ze spontanicznym ruchem ciała ich właścicielki.

— *Vouge la galere!* — rzekła ciotka. — Wybierzmy się do Łazienek Królewskich. Nie wiem, moje dziecko, o której zamierza wrócić do domu twoja szanowna rodzicielka. Jak zwykle pewnie ją coś zatrzymało. Marcysiu! Pomóż włożyć mnie i panience Kornelii odpowiednie odzienie wierzchnie. Mamy początek maja, ale kto wie, czy wiatr aż nadto nie będzie dokuczliwy.

— Ciociuniu, wszak ciepło jest. Pozwól, że pozostanę w sukience!

— To byłoby niestosowne, drogie dziecko. Istnieje duża szansa, że w piątek po południu spotkamy kogoś znajomego w Łazienkach. Trzeba, aby zarówno fason ubrania był adekwatny do pory roku, jak i jego warstwy wierzchnie. Co inni o nas powiedzą, jeśli będziemy odstawać od warszawskiej socjety? —





Powiedziawszy to, poklepała swą młodszą krewniaczkę po ramieniu i z impetem opuściła salon.

Aurelia, pomimo swych siedemdziesięciu pięciu lat, prezentowała się nadal zacnie. Siwe włosy, noszące ślady dawnej karcz czarnej barwy, zawsze były nienagannie ułożone. Wprawne dłonie Marcysi codziennie z rana przy nich pracowały. Z racji tego, że kobieta była częstym gościem salonów modystek, i suknię miała odpowiednio dobraną i skrojoną, zgodnie z najnowszymi prądami w modzie, której wyznacznikiem był Paryż.

Obserwując swoją ciocię, Kornelia nieraz zastanawiała się, jak to możliwe, że ona i jej mama są ze sobą blisko spokrewnione. Były zupełnie inne. A sama Kornelia miała do cioci podobne jedynie włosy. Ani bowiem jej mama nie miała czarnych włosów z brązowymi odcieniami, ani — jak pamiętała — tata też takowymi nie został obdarzony przez naturę.

Z ciocią Aurelią Kornelii było momentami trudno się porozumieć, gdyż słyszała z jej ust głównie nakazy i zakazy. „Dygasz nieodpowiednio”, „Źle trzymasz sztucę”, „Co ludzie powiedzą na takie zachowanie panienki z dobrego domu?” — te słowa ciotki często pobrzmiwały w głowie dziewczynki.

Dziewczynka w Aurelii najbardziej ceniła jej śpiew. Zaiste dobrze on jej wychodził. Niemniej jednak krewniaczka zajmowała się tą aktywnością, kiedy do jej mieszkania zawitał jakiś gość — i najlepiej, aby jej zagrał na fortepianie. Czasami Kornelia lubiła też się zasłuchać w opowieści ciotki Aurelii. Jak to było dawniej, jak to ona sama śpiewała na wielkich przyjęciach, jakich zacnych ludzi poznawała i jakie dostawała kwiaty od swoich wielbicieli. Aurelia uwielbiała też snuć opowieści o swoim nieżyjącym już mężu, Adamie Długoleckim, który był





wziętym adwokatem warszawskim. Zajmował się sprawami bogatej, warszawskiej finansjery, jej majątkami i spadkami. Gdy przychodziło opowiadać Aurelii o późniejszych okresach w jej życiu, ciocia nagle jakby przeskakiwała przez pewne momenty, urywała zdanie wpół. Zwłaszcza gdy mama Kornelii wzrokiem stopowała swoją ciotkę. Dziewczynka miała nieodparte wrażenie, że jest to związane z tymi tajemnymi rozmowami, które jej rodzicielka odbywała z ciotką Aurelią, gdy kobiety zamykały się w gabinecie.

— Kornelio! Idziemy! — zawołała Aurelia, wynurzając się ze swego pokoju. Na głowie miała już gustowny kapelusz, pasujący kolorem do burgundowej sukni. Służąca zapięła jej właśnie pelerynę i zaczęła narzucać okrycie na ramiona Kornelii.

Aurelia poleciła Marcysi, aby także zabrała się z nimi na wyprawę. Odkąd nieco podupadła na zdrowiu i musiała podierać się laską, wołała, aby ktoś z dorosłych był cały czas przy niej.

Przed kamienicą przy ulicy Wierzbowej w Warszawie czekał już na kobiety fiakier w dorożce, przywołany przez Filemona, lokaja Aurelii. Świeciło piękne, majowe słońce. Kornelia uznała, że w takich okolicznościach pogodowych peleryna jest jej zupełnie zbędna, ale ciotka upierała się, że wieje wiatr i bez odzienia wierzchniego, w samej sukience, dziewczynka jeszcze się przeziębii.

Dorożka pomknęła przez Krakowskie Przedmieście, przez Nowy Świat ku Alejom Ujazdowskim. Na tych pierwszych ulicach ludzie ciągle gdzieś śpieszyli. Oficerowie i czynownicy zapewne do Klubu Rosyjskiego, który mieścił się w pałacu odebranym Zamoyskim. Miasto powoli wchodziło już w sezon





wiosenno-letni. Otwierały się ogródki i teatrzyki, zamknięte jeszcze w kwietniu z powodu panującego chłodu. Było to miejsce w Warszawie stanowiące jakby inny wymiar. Zamieszkiwała je arystokracja tudzież bogata finansjera.

— Tak bardzo zawsze chciałam tu mieszkać — podkreśliła Aurelia.

I w końcu dopięłam swego, przenosząc się z Pragi do Śródmieścia. Aleje Ujazdowskie były wolne od tego, co często spotykało się w innych częściach miasta. Było tu czysto, zielono. Biedotę miejską, żebraków przeganiano stąd natychmiast, gdy tylko się pojawili. Wzdłuż drogi spacerowały damy ubrane w suknie o najmodniejszych fasonach i noszące dumnie na głowie ozdobne kapelusze, których runda miały chronić ich twarze przed słońcem. A często i tej osłony było za mało, toteż obok pani, trzymającej pana pod rękę, szła zazwyczaj służąca z parasolką. Na tej zacnej, warszawskiej ulicy nie było widać dam podejrzanej konduity.

Aurelia uważnie obserwowała warszawską socjetę. Ilekroć tędy przejeżdżała, prosiła woźnicę, aby zwolnił. Miała wówczas okazję wychylić nieco głowę z powozu i pomachać spacerującym, a przy okazji także zaprezentować nowy kapelusz sprowadzony z Paryża.

Kornelia nie do końca rozumiała, co ciotkę tak fascynuje w prezentowaniu swej garderoby obcym ludziom. Jej mama nigdy nie przykładła do tego większej wagi. Jej myśli pochłaniało zazwyczaj coś innego aniżeli przeglądanie żurnali, które podstawiała jej pod nos ciotka. Czasami Aurelia składała zamówienia na nowe ubrania dla Alicji bez jej wiedzy. Albo jeździła do modystki, by poprosić ją o uszycie sukni dla





bratanicy bez jej obecności, według miary wziętej ze starych sukien krewniaczki.

Dorożka dotarła do parku Łazienki Królewskie, tak uwielbianego przez większość stołecznego mondu. Na spacer w ciągu dnia tutaj mogła sobie jednak pozwolić tylko ta zamożniejsza część mieszkańców Warszawy. Osoby z klas niższych, jeśli się tu pojawiały, to głównie w asyście swoich chlebobawców.

Weszły w alejki. Pierwsza kroczyła Aurelia z właściwą sobie dystynkcją. Obok niej szła Kornelia, rozglądając się ciekawie, chłonąc zapach zieleni i rozkwitających kwiatów pieczołowicie doglądanych przez tutejszych ogrodników.

— O, ciociu! Wiewiórka! — wykrzykiwała co chwilę dziewczynka, wyrażając zachwyt nad rudym stworzonkiem, które podbiegało do spacerowiczów, po czym za moment odskakiwało.

— Kornelio, drogie dziecko! Nie krzycz tak głośno! Nie przystoi panience z dobrego domu takie głośne okrzyki z siebie wydawać. — Aurelia co chwilę strofowała podbiegającą do wiewiórki krewniaczkę.

Dziewczynka posmutniała na moment.

— Pamiętam, jak tata tu ze mną przychodził. W niedzielę, kiedy miał w końcu dzień wolny od pracy, od pacjentów... — Kornelia zawiesiła głos. — Tak mi smutno, że nie ma go już z nami...

— Wiem, dziecko. Twój tata był dobrym człowiekiem. Patrzy teraz z nieba na ciebie... No, ale już! Nie smuć się. Popatrz, idą państwo Koniecpolscy. Trzeba się uśmiechnąć do nich, pozdrowić odpowiednio i trzymać fason.





Z naprzeciwka szło małżeństwo w średnim wieku. Aurelia momentalnie się wyprostowała, poprawiła kapelusz. Wszak kłaniał się jej z daleka, zdejmując nakrycie głowy, sam hrabia Koniecpolski, u którego boku kroczyła dumnie jego szanowna małżonka. Za nimi tupała służąca, osłaniając hrabinę parasolem.

— Moje uszanowanie dla pani Długołęckiej! — To powiedział, hrabia uklonił się też Kornelii.

Ciocia dziewczynki odwzajemniła pozdrowienie, po czym zapytała:

— A jak się ma Adam? Jak mu się układa pożycie małżeńskie? Ślub i przyjęcie było naprawdę oszałamiające. Czy miesiąc miodowy też tak synowi i synowej upływa?

Ślub młodego hrabicy Koniecpolskiego z córką pewnego bogatego Amerykanina był głośnym wydarzeniem ostatnich miesięcy w stołecznym mondzie. Aurelia dostała zaszczytu bycia zaproszoną, aczkolwiek nie była w stanie uczestniczyć w weselu. Wybrała się na sam ślub, od przyjęcia wymówiła się niedyspozycją duchową. Taka też w istocie była przyczyna. Ostatnio czuła się słabo. Sama nie mogła momentami w to uwierzyć. Oto ona, Aurelia Długołęcka, pierwsza do przyjęć na warszawskich salonach, odmówiła udziału w hucznym weselu.

Mówiono w Warszawie, w kuluarach, że młody Koniecpolski popełnia mezalians, żeniąc się z panną nierówną mu urodzeniem. Wieść stołeczna niosła, że rodzina hrabiowska miała długi, a pieniądze szanownego teścia młodego hrabiego miały jej pomóc sobie z nimi poradzić. Nie było też tajemnicą, że panicz sam takowych długów narobił, wikłając się w hazard i trwoniąc pieniądze na drogie kokoty. Aurelia, uczestnicząc





w ślubie, w kościele Świętego Aleksandra, zastanawiała się, kto na nim więcej traci, a kto zyskuje. Czy młody hrabia, czy panna zza oceanu, która choć tytułów żadnych nie miała, ale za to jej ojciec mógł za swój majątek kupić całą Warszawę? Podobno dorobił się dzięki plantacjom bawełny w Ameryce.

— Syn pisze, że wszystko układa się w najlepszym porządku. Młodzi są w Paryżu. Jak wrócą, to będzie już na nich czekała kamienica przy alei Róż. Tam będą więc gniazdko. Kto wie... Może wkrótce doczekamy się wnuka. — Hrabia uśmiechnął się pod wąsem.

— A to nie planują mieszkać za oceanem? Wszak zapewne tam możliwości ogrom i daleko od Moskale.

— Trochę w Warszawie, a trochę w Ameryce. Nasza synowa nie zgodziłaby się tu zupełnie przenieść.

— Trudno się dziwić. Tu aż ciężko czasem oddychać... Zwłaszcza teraz, gdy co rusz manifestacje na ulice wychodzą, a Moskale zamykają w więzieniu za patriotyczne poglądy.

— A bratanica nadal tyle pracuje? Wieść niesie, że niejednej białogłowie podczas porodu pomogła lepiej niż doktor z uprawnieniami — zapytała hrabina, uśmiechając się do Aurelii.

— Moja mama ma uprawnienia, tylko w Warszawie ich nie uznają — odezwała się Kornelia.

Hrabiostwo spojrzeli na dziecko z pobłażliwym uśmiechem, zaskoczeni tym, że dziewczynka zamiast w towarzystwie stać i się uśmiechać, odważyła się zabrać głos.

— Myślę, że mojej bratanicy ta praca właśnie pomaga. Inaczej oddałaby się jeszcze rozpacz. Już jej nie próbuję przekonywać do odpoczynku, moje starania już piętnaście lat temu nie przynosiły efektu... — Aurelia westchnęła. — Wybaczę





państwo, ale musimy iść, obiecałam dziewczynce dłuższy spacer i sernik w cukierni.

Kobieta wymieniła gesty pożegnania z hrabiostwem Konięcpolskimi. Chciała jak najszybciej zakończyć tę rozmowę. Dawniej prowadziłyby pogawędkę nieśpiesznie, opowiadając, na jakich balach była i co tam śpiewała, kto bywał w jej domu czy dla jakiego fasonu sukni przepadł paryski mond. Ale dziś pani Długołęcka była już zmęczona takimi rozmowami... Dziś coraz częściej widziała płochość takich zachowań.

„Czyż ja się starzeję?” — zastanowiła się, ale szybko odpędziła od siebie tę złowrogą myśl.

Zaczęła o czymś rozmawiać z Marcysią. W tym czasie Kornelia dostrzegła ognistorudą wiewiórkę, która grzebała łapką w trawie, aż nagle znieruchomiała, usiadłszy na dwóch nogach, i jak zaczarowana wpatrywała się w dziewczynkę. Kornelia ruszyła powoli w jej kierunku. Czuła palącą potrzebę pogłaskania zwierzątka i w swych dziecięcych marzeniach ufała, iż to będzie możliwe. Wiewiórka siedziała tak przez chwilę, po czym znenacka poderwała się i pobiegła. Nie wskoczyła jednak na pobliskie drzewo, tylko sunęła niczym strzała w kierunku oranżerii. Kornelia zaczęła biec za nią, nadal mając nieodpartą potrzebę bliższego spotkania ze zwierzątkiem. Mijała rabaty z kwiatami, małe drzewka, których pieczołowicie doglądali ogrodnicy.

Dziewczynka biegła, choć już sama nie wiedziała za czym, gdyż wiewiórka zniknęła jej z pola widzenia. Dostała się między spacerowiczów, potknęła o kamień i nagle upadła. Zrobiło jej się ciemno przed oczami. Poczuła pulsujący ból w głowie, na ustach zaś metaliczny posmak. Po jej twarzy zaczęło coś ciek-





nać. Leżała chwilę przestraszona, po czym podniosła się i rozpłakała, patrząc na plamę krwi, która się wokół niej powiększała. Spojrzenia wszystkich spacerowiczów były na nią zwrócone.

— Toż to mała Wysokińska, wnuczka Aurelii. A cóż się stało temu dziecku?! — Hrabina Koniecpolska, która akurat w spacerowym tempie dotarła wraz z mężem do oranżerii, doskoczyła do niej.

Twarz Kornelii była zalana krwią. Hrabina, nie chcąc skalać kremowych jedwabów, które włożyła tegoż popołudnia na siebie, czerwoną ciecżą, poleciała swej służącej, aby pochyliła się nad dzieckiem i podniosła je. Hrabia Koniecpolski jednak, widząc przerażenie na twarzy kobiet, sam doskoczył do dziewczynki, pytając, jak się czuje i czy jest przytomna oraz świadoma tego, co się stało.

— Gdzie jest twoja ciocia? — pytał z przerażeniem w głosie.

Dziewczynka zdołała wyjaśnić mu, że odbiegła od krewniaczki, bo puściła się w pogoń za wiewiórką.

Hrabia porwał Kornelię na ręce i ruszył z nią, nawołując jednocześnie panią Długolecką. Za nim podążała przerażona hrabina, lamentując nad nieszczęśliwym wypadkiem.

— Biedne dziecko. Straciła ojca... jednego i drugiego... a teraz takie nieszczęście — użałała się pod nosem.

W oddali słyhać już było Marcysię, która rozglądała się i nawoływała Kornelię. Za nią sunęła Aurelia, podpierając się na lasce. Starsza kobieta zbladła, gdy zobaczyła, kogo hrabia Koniecpolski niesie na rękach i w jakim stanie jest dziewczynka. Krew rozlała się po jej twarzy, podartej sukience i czarnych puklach, poplamiła nawet białą koszulę i beżowy, wiosenny surdut hrabiego.





Aurelii zrobiło się słabo. Nogi się pod nią ugięły. Zaczęła stękać z przerażenia, spazmować, lamentować. Marcysia nie wiedziała, co robić w tej sytuacji: czy cucić swą chlebodawczynię, czy pomóc hrabiemu. Ale ten niezwykle przytomnie zapytał służącej Aurelii, czy mają powóz. Dowiedziawszy się, że przybyły do Łazienek dorożką, zakomenderował, by udać się do powozu Koniecpolskich. Marcysia podtrzymywała Aurelię, która jedynie wycodziła przez zaciśnięte zęby:

— Na Wolę, do szpitala... Jedziemy do szpitala na Wolę, do mojej bratanicy.

Powóz hrabiostwa czekał tuż przy głównym wejściu do Łazienek. Gdy tylko pasażerowie wsiedli, woźnica pomknął wzdłuż Alei Ujazdowskich i stojących przy nich dostojnych kamienic. Hrabina została ze służącą, postanowiła wrócić do rezydencji pieszo. Miała niedaleko, wszak mieszkała przy alei Róż.

— Biedne dziecko. Tyle nieszczęść na tę rodzinę spada... — utyskiwała pod nosem.





Rozdział 2

W SZPITALU na warszawskiej Woli panował względny spokój, co było dość nietypowe jak na to miejsce. Hrabia Konięcpolski nigdy nie miał okazji zawitać do tego przybytku, bo miał prywatnego doktora, który odwiedzał go w pałacyku i leczył całą rodzinę. Czuł niechęć i obawę przed takimi miejscami. W tym momencie jednak o tym nie myślał, gdyż jego celem było dowiezienie, a później doniesienie tam małej Wysokińskiej. Hrabia pamiętał jej ojca — był szanowanym lekarzem.

Często można było go spotkać w szpitalu, który rzadko opuszczał. Nawet gdy się ożenił, po raz drugi zresztą. Wówczas dużo czasu spędzał przy pacjentach z żoną, intrygującą kobietą, o której życiu plotkowała cała Warszawa.

Aurelia, która podtrzymywana przez Marcysię wyszła z powozu i ruszyła za hrabią, musiała zatrzymać się na chwilę przed wejściem do szpitala. Nienawidziła tego miejsca. Już na wspomnienie samego smrodu eteru, pomieszanego z wonią krwi i ludzkich fekaliów robiło jej się niedobrze. Była tu raz i więcej nie chciała, aby jej noga przestąpiła próg tegoż przybytku. Chciała tu nigdy nie wracać, zapomnieć o tamtej wizycie, wyrzucić całkowicie z głowy wspomnienia z nią zwią-





zane, ale gdy zobaczyła zakrwawioną Kornelię, myślała tylko o ratowaniu dziecka.

Hrabia biegł przez korytarz z wciąż krwawiącą Kornelią. Dziewczynka była tak wystraszona tym, co się dzieje, że zamilkła. Z naprzeciwka nadeszła siostra.

— Do doktor Wysokińskiej! Szybko! — ponaglił ją hrabia.

— Do kogo? — zapytała siostra.

Aurelia od razu się zorientowała, że jest nowa i musi tu pracować od zaledwie kilku dni.

— Niech siostra poszuka żony świętej pamięci doktora Wysokińskiego. Jej córka doznała wypadku.

Kobieta spojrzała na dziecko i krzyknęła:

— Do asystentki Alicji Wysokińskiej? Już biegnę po nią! Jest przy położnicach.

Po chwili zniknęła w korytarzu.

Krew cały czas sączyła się z głowy Kornelii. Marcysia wachlowała Aurelię, która odchodziła od zmysłów, a tymczasem na korytarz wbiegła kobieta w białym kitlu. Fartuch miała umazany we krwi. Nie zdążyła się nawet przebrać po operacji, przy której asystowała. Samodzielnie rzadko pozwalano jej operować. Spod czepka wystawały jej kosmyki złotych włosów, które próbowała upchnąć pod materiałem, ale wysunęło się ich tyle, że nie była w stanie nad nimi zapanować.

— Boże! Dziecko! Co się wydarzyło? — Przestraszona matka zastygła na moment, jakby ją sparaliżowało na widok Kornelii, której krew kapiała na ubranie trzymającego ją mężczyzny i na szpitalną podłogę.

Czuła, że drżą jej dłonie, serce o mało nie wyskoczyło z piersi. Przy obcych ludziach, pacjentach w najbardziej





tragicznym stanie była opanowana i przytomna. Gdy jednak chodziło o bliskich, trzymanie na wodzy targających nią uczuć przychodziło jej z trudem — choć nie raz i nie dwa musiała ich operować, zszywać i ratować z opresji. Niektórych zszywałaby jeszcze dłużej, gdyby tylko mogli z nią nadal być. Ona, Alicja Wysokińska, niejedno przeszła, niejedno już widziała, ale lęk o własne dziecko zniewalał ją najbardziej. Zaczęła trząść się jak w febrze. Przez moment nie mogła nic powiedzieć, gardło jej się zacisnęło. „Alicjo Rettel. Weź się w garść!” — powiedziała sobie wreszcie w duchu i ruszyła ku córce.

— Co się stało?! Dziecko! Moje dziecko! — wrzasnęła rozpaczliwie.

— Byłyśmy w Łazienkach. Kornelka była ze mną i Marcysią, po czym odbiegła i przy oranżerii upadła na kamień — odpowiedziała pośpiesznie Aurelia.

— A co moja córka robiła w Łazienkach o tej porze? Przecież miała lekcje francuskiego!

— Zmiana planów...

Alicja nie drążyła już dłużej tematu.

— Zanieście ją do tej małej sali, z pojedynczym łóżkiem! — poleciła.

Hrabia Koniecpolski nie chciał oddać dziewczynki i jak ją trzymał, tak pobiegł do wskazanej przez Alicję salki. Po czym wyszedł, wyglądając jak obraz nędzy i rozpaczy.

— Poczekam z szanowną panią — rzekł do Aurelii siedzącej na krześle.

Kobieta raz po raz omdlewała i słabła. Cuciło ją jedynie energiczne wachlowanie przez przejętą Marcysię, a gdy





odzyskiwała przytomność, wyrażała zniesmaczenie miejscem, w którym się znalazła.

Alicja wyszła po chwili, choć Aurelia myślała, że nie było jej całą wieczność. Ciotka aż poderwała się z krzesła na widok krewniaczki.

— Wielkie nieba! Co z Kornelią?! — krzyknęła.

— Ciociu, na szczęście ten wypadek gorzej wyglądał niż wyrządził szkód. — Alicja wzięła głęboki oddech. — Kornelia, upadając, rozcięła sobie łuk brwiowy. Jest to silnie ukrwione miejsce, stąd tyle krwi się położyło po niej samej i po panu hrabim. — Spojrzała na wybawcę swojej córki. — Dziękuję, panie hrabio, za pomoc.

— To nic wielkiego. Do usług! Panie jesteście bez męskiego wsparcia, a wasza rodzina tyle zasług położyła dla tego miasta — podkreślił hrabia Koniecpolski.

— Same nieszczęścia z tego... Śmierci... Wywózki na zesłanie, emigracje... — wtrąciła zrezygnowana Aurelia.

— Myślę, ciociu, że to nie jest dobre miejsce na takie dyskusje. Skończę na dziś pracę, nic więcej nie jestem w stanie zrobić przy pacjentach — powiedziała szczerze Alicja, odwiązując pas od fartucha.

— Podwiozę szanowne panie do domu. Moja dorożka czeka przed budynkiem szpitala. Po tym wypadku i upływie krwi może nie jest tam idealnie czysto, ale przetrwamy podróż — zaproponował hrabia.





Rozdział 3

KORNELIA OCKNĘŁA SIĘ ze snu. Widziała niewyraźnie, ale im częściej otwierała powieki, tym bardziej obraz się wyostrzał. Zastanowiła się przez moment, czy to, co jej się przydarzyło, było jawą, czy snem. Pamiętała głównie krew. Czerwoną ciecz spływającą z jej twarzy i ubrania. Nadal miała w ustach stałowy posmak. Wiewiórka, upadek, krew... I na końcu jakieś niezbyt przyjemnie pachnące miejsce. Takie obrazy przesuwaly jej się przed oczami. Choć to miejsce nie mogło być takie złe, skoro była tam jej mama. Pochylała się nad nią i szeptała do ucha: „Kornelko, dziecko moje ukochane... jedyne... Wszystko będzie dobrze”.

Znów słyszała głos mamy. Tym razem rodzicielka także szeptała jej coś do ucha.

„Dziecko. Dobrze, że wracasz do nas” — mówił kojący głos. Dziewczynka szerzej otworzyła oczy. Mama miała rozpuszczone włosy. Jej złote, długie i kręcone pukle opadały swobodnie na ramiona.

— Czy ja umarłam? — odezwała się dziewczynka.

— Na szczęście jesteś z nami. Byłaby to niepowetowana strata dla mnie. Miałaś mały wypadek. Łuk brwiowy został rozcięty, doznałaś urazu głowy, ale to nic poważnego. Spałaś





całą dobę. Możesz być wycieńczona, bo jednak straciłaś dużo krwi — odparła Alicja.

Kornelia dotknęła lekko szwu nad łukiem brwiowym.

— Nie martw się. Szybko się zagoi. Ale lepiej nie dotykać.

— Mamusiu, a gdzie mnie zawieziono? Gdzie ja byłam? Tak nieładnie tam pachniało...

— To był szpital, moja kochana. Ja tam właśnie pracuję.

— Czyli mamusia jest tam lekarzem?

Alicja się zawahała. Nie wiedziała, co odpowiedzieć córce. Już jej to tłumaczyła, ale nadal status zawodowy matki był dla córki niejasny.

— Skończyłam studia medyczne. Wiele wysiłku mnie to kosztowało. Towarzystwo Lekarskie w Warszawie nie uznało jednak mojego dyplomu. Walczę o jego nostryfikację w Petersburgu. Pamiętasz? Mówiłam ci o tym. — Alicja zaczęła się baczniej przyglądać córce, zastanawiając się, czy z jej pamięcią wszystko w porządku.

— Mamusiu... Mamusia jest taka mądra i zdolna. Jakże to możliwe, że z takimi ograniczeniami mamusia się spotyka?

— Jestem kobietą. Zrozumiesz to, gdy będziesz starsza. Studiować w Królestwie kobietom nie można było, innym sposobem przebyłam tę edukację. Ale i tak nawet w Petersburgu mają wątpliwości co do mojego dyplomu, długie procedury trwają.

— Pamiętam nieco. Mama przebierała się za mężczyznę i chodziła na warszawską uczelnię. To był ten podstęp umożliwiający mamie naukę?

— Dobrze pamiętasz, Kornelio. Byłaś małym dzieckiem, ale widzę, że trochę w tej twojej główce zostało.





— Ale jak mamusi się udało tak to wszystko zakamuflować? Mama wydaje mi się niesamowitą postacią...

Córka patrzyła na matkę z nieskrywanym podziwem. Jej rodzicielka była inna niż mamy jej koleżanek, przyjaciółek. Poza tym, że dostrzegała, iż matka żyje nieco w innym świecie, niewolnym od trosk, to było w niej coś tajemniczego. Alicja chodziła do pracy, do szpitala. Często przychodziły do niej, do domu, różne osoby z prośbą o pomoc. Mama mówiła Kornelii, że to są jej pacjenci. Przyjaciółki, kuzynki czasem pytały Kornelię, czy nie wstydzi się za matkę, że zajmuje się plebsem w szpitalu. Kobiety z tak zwanego mondu, młode damy były wszak trzymane pod kloszem, w kulcie „czystości”. Nie miały styczności z krwią, co najwyżej swoją. Unikano przy nich podejmowania tego typu tematów. Zresztą nie mogły i tak zadawać zbyt wielu pytań, bo ich dziecięcy świat był oddzielony od sfery dorosłych. Młode panienki były trzymane na dystans od pewnych informacji. Wiedziały tyle, co usłyszały od dorosłych, co podsłuchały pod drzwiami.

Z relacją Alicji i Kornelii było nieco inaczej. Dziewczynka zadawała wiele pytań, a matka na nie odpowiadała. Córka widziała, że rodzicielka czasami robi dłuższą pauzę, czasami szuka odpowiednich słów, ale stara się nie zbywać dziecka milczeniem czy nagłą zmianą tematu. Czasem skonfundowanie Alicji ujawniało się przez czerwone plamy pojawiające na jej dekolcie. Kornelia już zdołała zauważyć, że odpowiedzi na niektóre pytania sprawiały matce trudność. Zwłaszcza na te dotyczące przeszłości. Alicja chętniej dzieliła się z córką opowieściami ze szpitala.

— Adam, czyli twój ojciec, wykładał na uniwersytecie. I dzięki temu było mi łatwiej przeprowadzać przez kilka lat





całą tę mistyfikację. Gdyby nie on.... — Alicji zabrakło tchu, aby mówić dalej.

— Mamusiu... Jak upadłam i pan hrabia Koniecpolski niósł mnie na rękach, to pamiętam, że jego żona coś mówiła... Nie wiem teraz, czy mi się to śniło, czy o co tu chodzi... Ona... ona mówiła, że... ja straciłam dwóch ojców... Ja tego nie rozumiem. Przecież mój papa zaraził się od pacjenta gruźlicą i zmarł...

W tym momencie drzwi pokoju się otworzyły. Z impetem do pomieszczenia wkroczyła Aurelia, a za nią Marcysia z tacą.

— No, moje dziecko, widzę, że już lepiej się czujesz. Marcysia przyniosła ci rosół i herbatę. Trzeba tu odsłonić okna, bo jest ciemno jak w Hadesie — zawyrokowała ciotka.

Marcysia zrozumiała polecenie. Rozsunęła zasłony, otworzyła okiennice.

— A cóż to macie takie marsowe miny? Widzę, Kornelio, że odzyskałaś przytomność umysłu. To dobrze! W łóżku leżeć za długo nie wolno, bo odleżyny się robią i później ciało niezbyt ładnie wygląda. A trzeba dbać o formę, o urodę, abyś w przyszłości męża, dziecko, znalazła — trajkotała Aurelia.

Alicja spojrzała na nią i już nie wytrzymała.

— Ciociu! Da już ciocia spokój dziecku. Ja też męża miałam sobie nie znaleźć, bo się uczyłam i kalałam dłonie pracą w szpitalu, a jakoś... — wtrąciła Alicja, ale urwała, bo zdała sobie sprawę, że się zagalapowała.

— Z tobą to jest inna historia, moje dziecko... Wszak szaleństwo nie jest ci obce. Ale po cóż takie ekscesy mają się wydarzać w życiu naszej Kornelki? Mało to nieszczęść na naszą rodzinę spadło? — powiedziała Aurelia, wzdychając.





— Co to są ekscesy? I jakie mama w życiu przeszła? — zainteresowała się Kornelia.

Alicja spojrzała wymownie na Aurelię, jakby chciała ją zastopować w kolejnych wypowiedziach, ale ciotka nic sobie z tego nie robiła.

— Kornelko, nie zadawaj tyle pytań. Dziewczynka nie powinna być taką ciekawską. To niegrzeczne. Kawalerowie też nie lubią takich przemądrzałych panien. Wszystkiego dowiesz się w swoim czasie — upomniwała dziewczynkę.

Alicja przewróciła oczami. Żałowała niejednokrotnie, że mieszka z ciotką, że zgodziła się na to. Ale jednak Aurelia była jej najbliższą rodziną w tym mieście. Poza tym Alicja chciała chodzić do szpitala, a zdawała sobie sprawę, że ktoś musi mieć baczenie na jej córkę. Postanowiła przerwać tę rozmowę, zanim zajdzie zbyt daleko.

— Ciociu, chodźmy. Zjemy obiad, a Marcysia poda Kornelii rosół — rzuciła.

Ucałowała dziewczynkę w czoło i wyszły wraz z ciotką. Kornelia została bez odpowiedzi na pytanie o dwóch ojców. A to ją frapowało.

— Marcysiu, a jak długo Marcysia pracuje dla mojej ciotki? — zapytała służącej między przyjęciem do ust kolejnych łyżek rosółu.

— O, będzie już ze dwadzieścia lat.

— To Marcysia na pewno pamięta mojego tatę. Przychodził tu, gdy jeszcze żył...

— A, tak. Doktor Wysokiński był zacnym człowiekiem... — rzuciła Marcysia, po czym załkała, okazując wzruszenie. — Zmarł biedaczysko na gruźlicę, zaraziwszy się od pacjenta.





— Jakże się z mamą poznali?

— Przecie panienka wie, że pracowali razem...

— Tatuś, widać, musiał mieć oko na mamusię w tym szpitalu. Z tego, co wiem, mama pracowała w szpitalu już w tysiąc osiemset pięćdziesiątym roku, a ślub wzięli w tysiąc osiemset pięćdziesiątym drugim... Dlaczego tak długo to trwało?

Marcysia się zmieszała. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Pamiętała nakazy, które dostała od swojej chlebodawczyni, i starała się tej umowy dotrzymać, choć to wcale nie było łatwe, gdyż mała Wysokińska była niezwykle ciekawą dziewczynką. Trudno było cokolwiek przed nią ukryć. A już zwłaszcza słodkości, które Marcysia chowała w różnych częściach kuchni, aby zgodnie z poleceniem pani Aurelii podawać je okazjonalnie. Szczególnie gościom. Mimo największych starań służącej córka Alicji i tak często odnajdywała przysmaki i podjadała je po cichu.

— Panienka zadaje dużo pytań. Ale nie do mnie je należy kierować — odpowiedziała w końcu służąca, wkładając dziewczynce w usta kolejną łyżkę rosołu z intencją zamknięcia jej buzi.

Kornelia poczuła, że żyje w świecie nieudomówień. Jakby zawiązano w tej rodzinie jakiś spisek.

„Czy dana mi będzie łaska poznania tych tajemnic?” — z tą myślą dziewczynka zasypiała chwilę po tym, gdy Marcysia opuściła pokój, a ją ponownie opanowało zmęczenie.





Rozdział 4

MAJOWY PORANEK DNIA następnego był ciemny. Kornelię obudził zacinający w okiennice deszcz. Podniosła się z łóżka, czuła się już znacznie lepiej. W jej pokoju chyba nikogo jeszcze dziś nie było, Marcysia nie przyniosła rogalików ani herbaty. Dziewczynka zauważyła jednak, że nieopodal stolika stoi torba lekarska jej mamy, co świadczyło o tym, że rodzicielka była tu w nocy i sprawdzała stan córki.

Kornelia zdała sobie sprawę, że zawroty głowy i ciemność, jaką jeszcze wczoraj momentami widziała przed oczami, ustąpiły. Postanowiła wyjść z pokoju i zobaczyć, co się dzieje w domu. Było dość wcześnie, siódma rano. Przeszła przez korytarz. Z jadalni dochodziły już dźwięki i zapachy. Dziewczynka poczuła nagle głód i wiedzioną nim, szła przed siebie.

Drzwi jadalni były lekko uchylone, wewnątrz słysząc było głos mamy. Kornelia postanowiła zastopować swoje instynkty i zatrzymała się na chwilę. Kuzynka Ewelina zdradziła jej pewnego razu, że najwięcej informacji o świecie można uzyskać, gdy podsłuchuje się dorosłych, którzy myślą, że nikt ich nie obserwuje.

Kornelia widziała, że mama siedzi przy śniadaniu już przygotowana do dnia. Wychodziła wcześniej rano do szpitala.





Ciocia Aurelia, jak to zwykle poranną porą, przywdziała bordowy, jedwabny peniuar.

— Ciocia nazbyt wylewna przy Kornelii. Trzeba uważać, co się mówi.

— Alusiu, drogie dziecko. Wstałam o niehumanitarnej porze, bo mnie o to prosiłaś. O rozmowę. Ale nawet w czasie, kiedy mój umysł jeszcze się do końca nie przebudził, jestem świadoma i ty też powinnaś być, że w tym mieście nie sposób ukryć pewnych rzeczy. Już ja przed tobą chciałam skryć tajemnicę, a i tak znalazłaś listy twojego ojca, a mojego brata, i prawda o śmierci twojej matki wyszła na jaw. Wiesz, że mi jest też trudno żyć z tym wszystkim. Bo u mnie co w sercu, to i na języku. Może to i moja wada, ale jestem szczerą damą — powiedziała Aurelia i upiła łyk kawy.

— O, tak, ciociu! Już wielokrotnie się o tym przekonałam...

— Nie powinnaś mówić o tym wszystkim swojej córce. Jeszcze jej do głowy przyjdzie za jakiś czas kraj opuszczać i ojca szukać. Tymczasem ledwo kilka lat upłynie, a już trzeba będzie ją do zamążpójścia szykować. Lepiej też, aby roztropnie poszła kiedyś za męża, a nie w głowie jej były amory, jak tobie kiedyś.

— Ależ co ciocia opowiada?! Wie ciocia, że to była inna sytuacja...

— Ja nie mówię tylko o tych hiszpańskich amorach. O twoim zamiłowaniu do pracy, do leczenia mówię. Naprawdę, podziwiam cię, dziecko, że ty jeszcze dajesz radę. Zwłaszcza w tym nasyconym mężczyznami środowisku, w którym kobieta parająca się leczeniem uznawana jest za dziwolągę, istotę o ograniczonych zdolnościach umysłowych. Lepiej Kornelii taką ścieżką





nie prowadzić, lecz w opozycji do tego znaleźć jej odpowiedniego, zanego kawalera i kandydata na męża.

Alicja wstała od stołu, bo już nie mogła dłużej znieść tych uwag. Znowu do głowy przychodziły jej myśli, że nazbyt łatwo zgodziła się na wspólne mieszkanie z krewniaczką.

— Ależ ciociu, niech ciocia moją córką nie handluje jak krową na targu. Pozwolę sobie przypomnieć, że to ja jestem jej matką, a Kornelia, gdy osiągnie pełnoletniość, sama zdecyduje o sobie. Dam jej prawo wyboru, czy za męża chce iść, czy się uczyć. Może doczeka czasów, gdy kobiety w tym kraju będą legalnie mogły nauki na studiach wyższych pobierać i nie uciekać się do podstępów — zaczęła mówić podniesionym głosem.

— Ależ bredzisz, moje dziecko. Już nie raz w kłopoty wpadłaś przez to zaciętrzewienie swojego umysłu. Czy to nie lepiej kobiecie przy mężu znaleźć spokój? Po cóż burzyć ten porządek? To mężczyzna wszak jest żywicielem rodziny, kobieta zaś mości gniazdo, w którym żyć będą. Tak już Bóg ten świat urządził, nawet jeśli nie znamy jego celów i zamysłów. Nie nam zmieniać jego wyroki. Ja już się przeciwko temu buntowałam. Chciałam śpiewać w operze. Na szczęście opamiętanie przyszło i rodzice mi męża znaleźli. Miałam u jego boku dobre życie. Zdradził mnie raz, a przynajmniej o tym razie wiem, ale wybaczyłam. Co by mi przyszło z tych kłótni z nim.

Alicja już dawno odeszła od stołu i patrzyła teraz przez okno, na panoramę stolicy. Tego udręczonego miasta, którego zgwałconych mieszkańców — ofiary oprawców Warszawy widywała często w szpitalu.

Aurelia podeszła do bratanicy i objęła ją ramieniem.





— Przeżyłaś dużo, moje dziecko. Aż za dużo. Spadło na ciebie za wiele trosk. Choć córki swojej nie buntuj.

— Ona już i tak jest podbuntowana, bo widzi pracującą matkę. Ja, ciociu, w przeciwieństwie, jak mniemam, do ciebie, przeżyłam wielką miłość i nie żałuję ani chwili z mojego życia... Dzięki tej miłości mam Kornelię — wycodziła Alicja przez zaciśnięte zęby.

Myślała często, że zakopała w sobie głęboko te uczucia, te wspomnienia, to poczucie życia pełnią, intensywności, zatracenia się. Chciała to wymazać z pamięci. Nie wiedziała, czy bardziej dla siebie samej, czy dla Kornelii. Ale na myśl o nim doznawała takich kompulsji wewnątrz ciała, że czasem trudno było jej zachować rezon i dystynkcję...

Nagle rozmowę przerwały głosy z korytarza. Marcysia nadeszła akurat z tacą od strony holu i zobaczyła pod drzwiami dziewczynkę.

— O, panienka Kornelka! Już dziś na własnych nogach stoi i widzę, że wraca do nas. Przynieść śniadanie do sypialni czy zje panienką z mamą i ciocią?

Alicja szybko otarła łzy z twarzy, ale nie dało się ukryć, że płakała. Aurelia odskoczyła od bratanicy jak oparzona i uśmiechnęła się do dziewczynki, która zaanonsowana przez służącą nie miała już wyboru i weszła do jadalni.

Usiadła przy stole.

— Mama mówiła, że ma mnie dzięki miłości. Miłości z tatą zapewne? — Uśmiechnęła się do matki zasiadającej przy niej.

Ciocia Aurelia wyszła pośpiesznie z jadalni, zapowiadawszy, że zamierza się położyć po śniadaniu, gdyż ma migrenę.





— Dobrze się czujesz, dziecko? — zapytała Alicja, łapiąc córkę za dłoń.

— Tak, mamusi. Niemniej jednak duszę mam dręczyć pewne pytania. Czy mogę je mamie zadać?

Alicja zrozumiała, że nie ucieknie od tego, i przytaknęła głową.

— Mamusiu, dlaczego hrabina Koniecpolska powiedziała, że miałam dwóch tatusiów? Jak to możliwe? Mój tata, Adam Wysokiński, był lekarzem i zmarł z powodu gruźlicy, półtora roku temu.

— Kornelio, chyba nie mogę tego przed tobą dłużej ukrywać. Zjedz śniadanie i pójdziemy do twojego pokoju. Przyniosę tam coś z gabinetu wuja Adama.

— Mamusia nie idzie dziś do szpitala?

— Zostanę przy tobie. Będę cię obserwować. Wysłałam posłańca w wiadomością, że dziś nie dotrę.

Kornelia zjadła. Udała się do swojego pokoju, w którym druga służąca, Ada, pomogła jej się ubrać.

Wreszcie do sypialni dziewczynki weszła matka. Wyglądała inaczej niż zwykle, bo przywdziała tego dnia białą suknię, z falbanami z różową obwódką u dołu i kołnierzykiem z różową oblamówką. Kornelia rzadko widziała matkę w takim wydaniu. Zazwyczaj kobieta nosiła ciemne suknie. Czasem robiła wyjątek dla koloru beżowego czy kremowego, ale nie wtedy, gdy udawała się o poranku do szpitala.

Alicja usiadła obok Kornelii na łóżku. Pocałowała córkę w czoło, po czym wyjęła z pudełka przedmiot owinięty w beżowe płótno.

W pokoju Kornelii unosił się zapach herbaty, którą Ada przyniosła dziewczynce po tym, jak pomogła jej się ubrać.





Kornelia, zahipnotyzowana zapachem naparu, który notabene bardzo lubiła, patrzyła z zaciekawieniem, jak matka odwija tkaninę. Jej oczom ukazał się obraz niewielkich rozmiarów, portret. Widniała na nim podobizna mężczyzny o włosach tak czarnych, tak bujnych lokach, jakie Kornelia widziała... tylko u siebie. Ciemny zarost mężczyzny i ciemna oprawa oczu przykuły wzrok dziewczynki.

- Mamusiu, kto to jest?
- To jest ktoś, kogo bardzo kochałam.
- Mężczyzna... Ale to było, zanim poznałaś tatusia?
- I tak, i nie, moje dziecko.

Kornelia wzięła do ręki portret mężczyzny i przyglądała mu się uważnie.

— Pierwszy raz widzę, mamusiu, aby ktoś miał tak podobne włosy do moich.

Alicja wstała. Musiała to w końcu wypowiedzieć, choć szukała w myśli odpowiednich słów, sformułowań, nie chcąc napełnić córki niepokojem. Choć sama w tym momencie odczuwała lęk. Podeszła do stolika, wzięła łyk herbaty i westchnęła głęboko. Przez lata nękały ją nigdy niewypowiedziane, nienazwane wyrzuty sumienia, które uciszała i spychała gdzieś w głąb świadomości. Rozmowa, którą odbywała właśnie z córką, rozdrapywała w jej sercu rany, o których myślała, że już się nieco zagoiły.

— Moje dziecko, jesteś już dość duża. A przede wszystkim jesteś rozumną i roztropną dziewczynką. — Alicja zrobiła pauzę. — To jest twój ojciec.

Wydobyła to w końcu z siebie. Kornelia spojrzała na nią z zadziwieniem, niedowierzaniem. Każdy mięsień jej twarzy był napięty.





— Jak to ojciec?! Przecież moim papą był Adam Wysocki, lekarz ze szpitala na Woli, w którym razem pracowaliście.

— Adam cię wychował, jak córkę. Kochał cię bardzo, ale twoim biologicznym ojcem, to znaczy twoim prawdziwym ojcem, jest Gustavo da Costa, ten człowiek ze zdjęć.

Kornelia upuściła na podłogę portret, któremu jeszcze do niedawna bacznie się przyglądała. Nie bardzo rozumiała, co matka do niej mówi. Nagle okazało się, że człowiek, którego także admiirowała, miała do niego ogromny szacunek, nie był jej tatą...

— Co się stało z tym panem ze zdjęć?

— Nie żyje. On jest... — Alicja się zawahała. — Był Hiszpanem. Mieszkał tu ze mną w Polsce przez pewien czas, ale musiał wrócić do Hiszpanii. Miało to trwać chwilę, ale został... tam stracony.

— Ale co mama mi mówi! To są jakieś herezje! To jest niemożliwe — mówiła z zacięciem Kornelia. Zaczęła krążyć po pokoju, krew się w niej wzburzyła. Zataczając koła, powtarzała sobie: „Moim tatą był Adam Wysokiński, papa, lekarz”, jakby chciała wyprzec ze świadomości to wszystko, co powiedziała jej matka.

— Dziecko kochane, mówię ci to teraz, bo... bo... czekałam na odpowiednią chwilę. Zresztą w tym mieście i tak się niczego nie ukryje. Stołeczne bale i przyjęcia to wszak doskonała okazja dla ich uczestników, a zwłaszcza uczestniczek, aby omówić czyjeś życie, zajrzeć do cudzej alkowy. Łatwiej zająć się cudzymi nieszczęściami niż pochylić nad własnymi. Sama długo nie znałam swojej historii rodzinnej.





Wmówiono mi, że moja matka zmarła na suchoty, podczas gdy w rzeczywistości wypadła z okna na paryski bruk i zginęła, gdy byłam malutka. Byliśmy wówczas na emigracji we Francji z powodu mojego ojca, który brał udział w powstaniu listopadowym i musiał później uciekać przed prześladowaniem ze strony Moskali. Długo żyłam w przekonaniu... Nie mogłam mu wybaczyć tego, że mnie porzucił i oddał na wychowanie na pensję do Krakowa. Przez przypadek dowiedziałam się, że mam jednak brata. Byłam znacznie starsza niż ty teraz. I też byłam w szoku... Zanim jednak to nastąpiło, nieustannie doskwierała mi wewnętrzna pustka, poczucie, że nie do końca wiem, kim jestem, że nie mam tożsamości... Gdy dwanaście lat temu, w poprzednim mieszkaniu Aurelii, znalazłam list, który mój ojciec napisał do swej siostry z emigracji w Paryżu, wszystko się wydało. Dopiero wtedy Aurelia powiedziała mi prawdę. Okazało się, że mam brata, który zaginął, przebywa prawdopodobnie w Hiszpanii... — mówiła Alicja, całkiem spokojna i opanowana. Starła się nie tracić rezonu, aby móc wyjaśnić wszystko córce jak najbardziej klarownie.

Ta jej nie przerywała, choć nadal nie mogła usiedzieć w miejscu i chodziła po pokoju.

— Uważam, że za późno dowiedziałam się o tym wszystkim. Bardzo chciałam, aby z tobą było inaczej. Abyś poznała wcześniej prawdę o swojej tożsamości. Czekałam tylko, aż skończysz lat czternaście. Wydawało mi się, że to wiek, w którym młoda osoba bardziej rozumną się staje, aniżeli gdy pozostaje dziecieniem. Ale widać los zdecydował inaczej... Wobec zaistniałych okoliczności dowiesz się wcze-

